

RODZINA ALVAREDA.

Nowella hiszpańska p. Fernana Caballero.

PRZEŁOŻYŁ

Władysław Milkowski.

I.

Postępując zakrętami wśród starych murów Sewilli i zostawiając na prawo rzekę i *Délices*, wkrótce przybywamy do bram San Fernando.

Ztąd idzie droga, która w linii prostej przerzyna równinę i piętrzy się nagle tworząc pagórek, zwany *buena Vista* (piękny widok). Zwaliska kaplicy otaczają jego szczyty.

Gdybyśmy lotem ptaka przebiegali okolicę, powiedzielibyśmy że wyniosłość, rozciągająca się od Sewilli aż do tych zwalisk, służy jakby dla zwrócenia na nie uwagi przechodnia. Zwaliska te, z pozoru zaprawdę nędznie wyglądają, nie noszą najmniejszego śladu sztuki na sobie; lecz w nichto właśnie przechowują się wspomnienia historyczne i religijne. Przywodzą na pamięć tak popularną postać wielkiego Ferdynanda, ideał narodu hiszpańskiego, który go uwielbia jako bohatera, czei jako świętego, i kocha jako dobrego króla.

Z wierzchołków pagórka, droga zniża się na pochyłości przeciwniej i zapuszcza się w wąską dolinę, przez którą mały strumyk płynie: przed nim zachwycający odkrywa się widok. Z jednej strony spostrzegamy niby uśmiech, skromną i prostą gospodę, która zmęczonego wędrowca do spo-

czynku zaprasza; z drugiej na wyniosłości przedstawia się oczom jego zamek maurytański w całej okazałości. Zdawało się, że ziemia wznosi się umyślnie na przyjęcie tego ogromu, nakazującego poszanowanie, żeby służyć za piedestał jego dumy.

Don Pedro z Kastylji udarował nim piękną i bardzo sławną Donnę Maryą z Padilli; jój to imię jeszcze pałac ten nosi.

Całe to królewskie mieszkanie z wszystkiemi jego przyległościami, z upływem czasu i w skutek pobożnych donacyi bezwątpienia, przeszło na własność katedry Sewilskiej. Kapituła pozbyła się go, i dziś znajduje się w rękach bogacza. Ten nabył bujne pastwiska i rodzajne drzewa oliwne Donny Maryi; lecz wspomnień nie kupił. Starodawna rezydencya ujrzała szybko niknące swe cienie i zmarszczki, słowem czuła się zupełnie odmłodniałą pod białą powłoką wapienną i tysiącznemi wieńcami zieloności. Przerobionej w gęście nowożytnym i wystrojoniej jak dziewczyna z kokieterią, okoliczni mieszkańcy nie mogli zrazu rozpoznać i zapytywali samych siebie ze zdziwieniem, czy to nie sen? A potem przechodzili mruczając pod nosem, iż zresztą piękna grzesznica przez pięć wieków w czyscu mogła już odpokutować za błędy życia i powrócić do łaski Boga. Wszelako ci, którzy odszukują dawne pamiątki i lubią spoglądać na uroczystą szatę czasu, płaczą i szerzą swe skargi jakby tu szło o zbezcieszczenie grobu.

Lecz idźmy dalej, a ocienieni drzewami palmowemi i zielonymi dębami lasku, wkrótce przybędziemy do wsi Dos-Hermanas (dwie siostry), położonej na piaszczystej równinie, o dwie mile od Sewilli.

Nie zobaczysz tu ani rzeki, ani jeziora, ani chłodnego cienia. Témbardziej nie ujrzysz tu wcale domków wiejskich ocienionych zielenią, ani pawiów, ani kogutów gwinejskich, dziobiących winogrona jeszcze niedojrzałe, ani tych uroczych alei wysadzonych szeregiem drzew, na podobieństwo niewolników podtrzymujących ogromne parasole, dla czuwania nad ciągłym chłodem przechodniów. Wszystkiego tego tu niedostaje i smutno wyznać, że na cokolwiek spojrzysz jest proste i bez wdzięku. Lecz z drugiej strony napotkasz tu pocziwe i wesołe postacie, dowód oczywisty, że szczęście

nie polega na wyszukanych tylko rozkoszach; a nawet znajdziesz kwiaty przed domami, a na progu mieszkań czerstwe i piękne dzieci, liczniejsze niż kwiaty. Tu mimo woli przyjdą ci na myśl wspomnienia Edenu, obrazu nieba, słodkiego pół pokoju, który rodzi się zawsze na łonie skupienia i samotności.

Kilka długich ulic, obszerny plac, niskie domy, składają całą wieś. Plac podobny do kobierca o tle płowém, rozciąga się przed pięknym kościołem, którego wieża w górę krzyż wznosząca, jak żołnierz swój sztandar, gubi się w obłokach.

W cieniu kościoła, ukryta od spojrzeń wszystkich, znajduje się oaza tego nieurodzajnego miejsca. Drzwi artystycznie rzeźbione w murze prowadzą na obszerny dziedziniec, poprzedzający szanowny przybytek, kaplicę św. Anny, patronki tego miejsca. We wnętrzu téj kaplicy, napełnioném wonią religijną, hodują się i kwitną stuletnie cyprisy melancholicznój zieleni; dalej rozkoszny kwiat raju o delikatnój łodydze, która szybko wzrasta i za lada wiatru powiewem nad miarę utracą woń i liście, albowiem wie o swéj przemijającej trwałości, i wreszcie drzewo pomarańczowe, ów pan wielki, to dziecko szczególnego upodobania gruntu andaluzyjskiego, darzącego go życiem tak przyjemném i tak długim. Winną latorośl rozpostarta na tyczkach przy murze kończy tło obrazu. Równie jak dziecko potrzebuje ona pomocy człowieka, by wzrosnąć i wspiąć się do góry; lecz nie jest niewdzięczną dla swego dobroczyńcy, nie skąpi mu swych owoców, a sama zrzeka się wszystkiego, nawet tych podpór, które zdaje się otaczać swemi ramionami i ocieniać z miłością szerokimi gałązkami. Któż z rozczuleniem nie patrzy na zachwycający wdzięk szczepu winnego? Zresztą zauważyć należy, że każda roślina ma swe właściwości, swe ścisłe odcienia, które rodzą w duszy tysiące najrozmaitszych wrażeń; cyprys zdolny jest natchnąć nas szacunkiem, kwiaty rajskie czułością, drzewo pomarańczowe podziwem; a inne, zamiłowaniem spokoju, dobrémi i świętými myślami.

Na okół wioski Dos-Hermanas rozciągają się niezliczone plantacje drzew oliwnych, jeden ze skarbów rolnictwa w Andaluzyi. Drzewa rozmieszczone w małych odstępach

jedne od drugich, przedstawiają w tém miejscu widok rozkośnych gaików; lecz grunt nie okryty murawą i pługiem wyrównany, stanowi nieprzyjemną jednostajność. Gdziekolwiek spotykasz dom właściciela z gospodarskimi zabudowaniami jak folwark i fabryka, w których uskutecznia się maceracya i wydobywanie oliwy. W budowlach tych nie widać najmniejszego śladu smaku.

W ogóle plantacye te należą do arystokracji sewilskiej, która je rzadko zamieszkuje, gdyż życie wiejskie bynajmniej nie podoba się damom. Dlatego też plantacye te są zaniedbane i próżne jak stodoły. W tych ustronnych okolicach milczenie przerywa chyba tylko śpiew koguta, czujnego stróża, i poryk biédnego osła zgnębionego.

W piękny wieczór styczniowy 1810 roku, można było słyszeć głos dźwięczny i świeży młodego człowieka lat dwudziestu, który mając strzelbę na ramieniu szedł krokiem szybkim i stanowczym wzdłuż plantacji oliwnych. Był wysmukły i kształtnej postaci; ruchy jego, mina, chód wreszcie, świadczyły o téj giętkości i gracyi, które sztuka napróżno stara się naśladować, a któremi to przymiotami natura szczerze obdarzyła Andaluzyjczyków. Czoło wyniosłe, ocienione pysznymi kruczemi włosami, przedstawiało wzór pięknego typu hiszpańskiego. Wielkie oczy były żywe, w spojrzeniu błyszczał rozum, a górna warga malująca lekki cień wesołej ironii, odkrywała białe zęby. Z całej postaci łącno było odgadnąć niezwykłą siłę i życie.

Srebrna spiuka zapinała kołnierzyk jego białej koszuli. Miał na sobie krótki kaftan z szarego sukna i także spodnie równie przymocowane do kolan za pomocą jedwabnych sznurków; lekka przepaska o pomarańczowych prążkach ścisła mu lędźwie i odznaczała kibić. Trzewiki i kamasze z żółtej skóry obejmowały nogi i golenie, a kapelusz z szerokimi skrzydłami, nazywany kalabryjskim lub portugalskim, aksamitką obwiedziony i z gracyą na lewy bok nachylony, uzupełniał elegancki ubiór andaluzyjski.

Młodzieniec ten znany z pracowitości i charakteru nieustraszonego, był wysłanym przez dzierżawcę jednę z plantacji w celu pilnowania robotników podczas zbioru oliwek. Idąc śpiewał:

Kiedy przybywam, gdzie narieczona
 Czeką już na mnie z różą u łona,
 To mi się zdaje, w tej miłej drodze,
 Że już odchodzę.
 A kiedy od niej wracam niebogi,
 Kiedy opuszczę domku jej progi,
 Zda mi się znowu w powrotnej drodze
 Że do niej wchodzę.

Przybywszy przed parkan przeskoczył go, nie chcąc tracić czasu na szukanie przejścia, i ujrzał się naprzeciw drugiego młodzieńca, trochę starszego, a który równie jak on, szedł w stronę wioski. Miał na sobie takiż sam ubiór; lecz był niższym i nie tak wysmukłym. Bure jego oczy mniej rzuciły ognia, a spojrzenie spokojniejszem się wydało, wyraz twarzy poważniejszym, a uśmiech słodszy. W miejsce strzelby, narzędzie pracy ciężyło mu na ramieniu. Poprzedzał go osioł nie okiełznany, a za nim postępował ogromny pies o gęstej a krótkiej sierci żółtawego koloru, należący do pięknej estremadurskiej rassy.

— Hola! to ty Peryko! Niech cię Bóg ma w swój opiece!—zawołał nasz młodzieniec.

— Daj Boże, Venturo—odpowiedział drugi. Czy idziesz na uroczystość.

— Nie, za interesem. A zresztą już ośm dni....

— Jak nie widziałeś méj siostry Elwiry? przerwał Peryko z życzliwym uśmiechem.—Dobrze, mój drogi: to się nazywa zrobić dwie rzeczy za jednym zachodem, albo przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie.

— Gdybyś był milezał, i jabym nie odrzekł; lecz gdy ty mówisz, i ja mówić będę, Peryko! Kiedy się ma dach szklanny, nie rzuca się kamieni na dach sąsiada.

— Szczęśliwyś i bardzo Venturo!—dodał Peryko wdychając: możesz się żenić, kiedy zechcesz, a nikt ci nie przeszkodzi.

— Eh! Peryko, któżby ci bronił zrobić tak samo?

— Wola méj matki, Venturo!

— Co mówisz? i dlaczegoż to, Peryko? Czegoż nie dostaje Rycie? nie jestże młodą i ładną? alboż nie z dobrego jest gniazda, a zresztą przecież to twoja krewniaczka?

— W tém właśnie leży przyczyna, dla której moja matka jej nie lubi.

— Skrupuły dobrej kobieciny! czyż ona zamyśla prosić kościoła, żeby na to zezwolił?

— Nie; skrupuły mój matki nie są jedynie religijne. Mówi, że małżeństwa między tak blizkiemi krewnemi sprzeciwiają się naturze, że sama krew odpycha się a nie łączy, i że czy prędzej czy później spadają na nich nieszczęścia i ścigają ich zgryzoty sumienia. Tysiące tego stawia przykładów.

— Przestań już mówić o tym proroku nieszczęścia, Peryko! zbyt wiele sobie tęp głowy nie zawracaj. Alboż to się tak zwykle nie dzieje, że matki zawsze pod jakimkolwiek pozorem, sprzeciwiają się małżeństwu swych synów?

— Nie Ventura, odrzekł Peryko poważnie, bez matczynego zezwolenia nie ożenię się nigdy.

Chwil kilka szli w milczeniu.

— To dobrze! odparł nakoniec Ventura, jestem podobny do owego opiekuna, który stojąc nad brzegiem wsadzał ludzi na okręt a sam zawsze pozostawał na lądzie; lub do tego Faryzeusza co wołał: „Rób to co mówię, a nie to co robię” Czyż to być może, by wola mego ojca tęp była dla mnie, czem przedza wełny dla lwa! Czy myślisz Peryko, że to nie z jej przyczyny w tęp chwili nie jestem w Ubrera gdzie się organizuje batalion ochotników mających wkrótce wyjść w pole. Czy wiesz Peryko, jaką rolę odgrywamy, gdy nie ruszając się z miejsca patrzymy, jak inni idą? Gramy poprostu rolę złych i zniewieściałych Hiszpanów.

— Tak, myślę tak samo, Ventura; lecz jakżeż chcesz bym opuścił matkę i siostrę dla których jestem jedyną pomocą? To niewątpliwa, jednakże jeżeli moja matka trwać będzie dalej w swym uporze, nie będę żył tak dłużej i pójdę wraz z innemi. Tak już sobie postanowiłem.

— I dobrze uczynisz! zawołał Ventura w uniesieniu. Co do mnie, tego dnia kiedy mnie wezwą, Peryko, znajdziem kilku Francuzów, którzy opuszczają ziemię hiszpańską na zawsze.

— A Elwira?

— Elwira zrobi jak inne. Będzie na mnie oczekiwać lub opłakiwać mnie.

Przybyli do wsi.

Dom rodzinny Peryka był obszerny i świeżo wybielony. Z każdej strony wrót znajdowały się oparte o ścianę mocne ławki; w górze wisiała lampa przed wizerunkiem Zbawiciela, umieszczona tu według zwyczaju katolickiego, który nakazuje poprzedzać czyn każdy myślą religijną i oddawać wszystko pod wszechwładną opiekę boską.

W środku przestronnego podwórza, na grubym pniu wznosiło się ogromne drzewo pomarańczowe. Podstawę jego otaczała okrągła krata z żerdzi, jakby pancerz. Od czasów niepamiętnych drzewo było to źródłem dumy dla całej rodziny. Nieboszyk Ignacy Alvareda ojciec Peryka, w duchu tradycyi przechowywaną w jego domu, utrzymywał, że istnienie drzewa tego odnieść należy do epoki wypędzenia Maurów. Według niego, drzewo to zasadził jeden z Alvarédów, żołnierz króla Ferdynanda. A kiedy proboszcz, brat jego żony, żartował sobie z tego i chciał go wprowadzić w kłopot co do starożytności i nieprzerwanego rodowodu jego gniazda, odpowiadał niezmiśnany i bez żadnego wahania się z całym przeświadczeniem, że wszystkie plemiona świata były starożytne, i że potomstwo w prostej linii mogłoby wygasnąć u bogaczy, lecz że się nigdy nie podobnego nie przytrafiło biedakom.

Kobiety domowe, z liści drzewa pomarańczowego przygotowywały środki wzmacniające żołądek i łagodzące nerwy. Młode dziewczęta przystrajały się w jego kwiaty, działwa rozkoszowała się i chłodziła owocami. Ptaki wśród gęstych gałęzi założyły sobie główną siedzibę i ztąd słały w powietrze tysiączne okrzyki radości.

Na prawo i na lewo wewnętrznego kurytarza, były tu dwa równé wielkości mieszkania, stanowiące dom cały: każde z nich składało się z sali o dwóch okienkach zakratowanych od ulicy i z dwóch pokojów, do których światło wpadało od podwórza. W głębi otwierały się drzwi, na rozległy podwórzec, obejmujący kuchnię, sadzawkę i stajnię. Drzewo figowe rosło w pośrodku tak małe, że służyło tylko za schronienie dla drobiu.

Pan domu umarł już od trzech lat. Kiedy poczuł zbliżający się koniec dni swoich, przyzwał syna Peryka i rzekł mu: „Matka twa i siostra na twojej chcą polegać opiece: czuwaj nad jedną, a pozwól by cię prowadziła druga. Zaw-

sze przechowywałem w sercu świętą miłość Boga i myślałem o śmierci; ztąd też bez strachu i zdziwienia widzę ją nadchodzącą. Pamiętaj, żebyś się jęj nie lękał. Wszyscy Alvaredowie byli ludźmi zacnemi: w twych żyłach też sama krew krąży, i w sercu twém żyją te same zasady katolickie. Wstępuj w ich ślady, a żyć będziesz szczęśliwie i umrzesz spokojnie."

Wdowa po nim była kobietą szanowaną nawet w wyższych warstwach dla swęj godności. Wychowaną przez brata, który był księdzem, zdołał rozum, czystość obyczajów, charakter poważny, sposób obejścia się nacechowany godnością. Każdy ją też szanował. Syn jęj Peryko, posłuszny, skromny, pracowity był jęj pociechą i nadzieją; nigdy jęj jeszcze nie dał powodu do zmartwienia, aż dopiero teraz miłością dla swęj krewnej Ryty.

Córka jęj Elwira trzy lata młodsza od brata, była młodą rośliną przez swą czułość, fijołkiem przez skromność, a lilią przez swą czystość. W pierwszych latach życia słabowita, ztąd też na jęj twarzyczce bardzo podobnej do oblicza brata, została lekka bladeść i ten wyraz pokoju, zdającego się na wolę Bożą, który całej jęj postaci nadawał niewypowiedziany powab. Od dzieciństwa przywiązała się do Ventury, do odważnego i wybornego syna sąsiada Pedra, przyjaciela i towarzysza broni Juana Alvaredy.

Żona Pedra umarła wydając na świat córeczkę, którą od tęj chwili ojciec powierzył staraniom zakonnicy Alkali, siostrze nieboszki. Rozłączony w ten sposób z dzieckiem, Pedro zlał wszystkie uczucia na Venturę, i widział w nim z dumą najpiękniejszego, nieustraszonego młodziana w okolicy.

Naprzeciwko mieszkania Alvaredów, był położony dom Maryi, matki Ryty. Marya była wdową po bracie Anny, dzierżawcy plantacyi Quintos w sąsiedztwie. Była to kobieta dobra, szczera, prawa, ale słabego charakteru; nie umiała nagiąć i pohamować burzliwej natury swęj córki. Tak wszystkie błędy rozwijały się w nięj swobodnie, i charakter jęj był gwałtowny, wrażenia były wrzące, a serce zimne i nieczułe. Postać jęj nadzwyczaj piękna, ujmującego wyrazu, żywa i szydząca, tworzyła doskonałe przeciwieństwo z wizerunkiem jęj krewnej Elwiry. Można je było porównać, jedną do róży świeżęj, rozkosznej, ale uzbrojonęj

ostremi kolcami, druga do róży co na białych bladych liściach unosiła koronę cierniową, jako znak cierpienia, ale na dnie swego kielicha ukrywała skarb słodczy.

W opisie i wyliczeniu wszystkich osób składających tę rodzinę i jej dalszych lub bliższych krewniaków, musimy wspomnieć Melampo, psa domowego, bo nie wszystkie psy są równe. Otóż, Melampo był psem uczciwym i poważnym a krzepkim. Szczekał rzadko i nigdy bez ważnej przyczyny; był wstrzemięźliwym i nie odstąpił nigdy od prawideł roztropnego umiarkowania. Nie przymilał się wcale swym panom, lecz za to, żadna pobudka nie mogła go skłonić do ich opuszczenia. W całym życiu nie ukąsił nikogo. Pogardzał dumnie napadami małych psiaków, które, skoro przechodził, poszczekiwały za nim z głupią niechęcią. Ale Melampo zagryzł sześciu wilków, raz rzucił się na wściekłego buhaja, który ścigał jego pana, pochwycił go za ucho i osadził w miejscu. Z takimi tożsągami, Melampo spoczywał spokojnie na słońcu.

— Takto—mówił Pedro—latoś trzoda pada z głodu, a zeszłego roku, potrzebowała tylko wyjść za opłotki, żeby zawsze znaleźć wszędzie paszę, pokarm dobry i to do sytości.

— Zdaje mi się—odrzekła Elwira głosem melodyjnym i dźwięcznym—że wkrótce deszcz padać będzie. Dziś nad brzegiem ukazała to mgła czarna, wróżka burzy i nawałnicy.

— Z pewnością będzie deszcz padał—dodała Ryta—dziś w nocy widziałam gwiazdę wodną, a burza niosła ją przed sobą jakby wysoką wieżę z pochodniami.

— Tak, będzie deszcz padał, potwierdziła dobra Marya obudzona ze snu czystym i donośnym głosem swjej córki. Mój reumatyzm zapowiada mi to niestety. Lecz nie mnie tak nie martwi jak trzody tych nieszczęśliwych pasterzów, którzy całe noce przepędzają pod cieniem Estralli (gwiazda).

— Oh! nie kłopotcz się o nich matko Maryo—rzekł wesoły Pedro, który w każdej okoliczności miał za pasem jakiś dowcip, przysłowie lub zabawną dykteryjkę na poparcie tego, co wyrzekł—jestto rzeczą wielkiej wagi na tym lichym świecie, przyzwyczaić się do czego, a to co jednemu złem się wydaje, inny za dobre uważa. Zwyczaj wygładza wszystkich jak morze i osłaca wszystko jak słońce. Pewien pastér z

ożenił się z dziewczyną istną różą. Traf zrządził, że pierwszego dnia po weselu zadał wiatr gwałtowny, z grzmotami, błyskawicami i ulewnym deszczem. Serce omdlało biednemu pastérzowi, nie mógł wytrzymać, a opuściwszy młodą małżonkę, wyskoczył z łóża, pobiegł do okna, które otworzył i zaczął krzyczeć: o nocy boska! trzebaż bym nie mógł na cieszyć się tobą!

— Tę noc Bóg dał naumyślnie, by rzucić cień na nowożeńców—zawołała Ryta—śmiejąc się serdecznie.

Ósma wybiła; pomodlono się za dusze w czyseu będące, i każdy odszedł w swą stronę.

Kiedy rodzina została samą, Elwira nakryła stół błyszczącej białości obrusem i przyniosła na wieczerzę karafkę wody, chleb i sałatę.

Anna i jej córka rozpoczęły biesiadę, lecz Peryko ciągle siedział na swém miejscu, głowa owisała mu na ramieniu i, jak to dzieć się zwykło w roztargnieniu, grzebał pogrzebaczem w węglach, tłących się jeszcze pod popiołem.

— Czy nie chcesz wieczerzać—rzekła doń siostra—pokazując mu bułkę, którą rozczylniała własnymi rękoma.

— Nie jestem głodny—odrzekł nie podnosząc głowy.

— Może słaby jesteś mój synu?—zapytała Anna.

— Nie, matko.

Wieczerza kończyła się w milczeniu, a gdy Elwira wyszła odnosząc półmiski do kuchni, Peryko nagle rzekł do matki:

— Matko, jutro idę do Ubrery zaciągnąć się w szeregi Hiszpanów, biegnących walczyć przeciw Francuzom.

Anna osłupiała. Była przywykłą do łagodnego posłuszeństwa syna, które ją jeszcze nie zawiodło.

— Idziesz na wojnę!—zawołała mocno wzruszona—to znaczy, że chcesz nas opuścić. Lecz to być nie może: ty nie możesz, nie powinieneś opuszczać swęj matki i siostry; ja nie zezwolę na to.

— Matko!—wyrzekł rozjątrzony młodzieniec—zwykłaś zawsze opierać się moim życzeniom! Aż dotąd sprzeciwiałaś się méj woli, a teraz chciałabyś mi ją całkiem odebrać. Zawsze mi tylko robisz przeszkody. Ale, matko—ciągnął dalej z zapalem—matko, skończyłem już 21 lat,

z czego wypływa, że mam dosyć siły do zwalczenia wszystkich przeszkód, gdyby przyszło do oporu z twój strony.

Anna, równie zdziwiona jak przestraszona, złożyła drżące ręce i zawołała:

— Cóż! niema więc środka pomiędzy małżeństwem, które cię uczyni nieszczęśliwym a wojną, którą życiem przypłacisz?

— Żadnego—powiedział Peryko—albo zostanę i ożenię się, albo pójdę spełnić obowiązek dobrego Hiszpana.

— Dobrze więc! żeń się!—odparła matka głosem stanowczym. Z dwojga złego wolę mniejsze. Lecz pomnij Peryko na to, co ci dziś mówi twa matka: Ryta jest próżną, trzpiotem, obojętną chrześcianką i córką nieczulą. Zła córka, złą będzie żoną, wasza krew odpycha się. Kiedyś wspomnisz moje słowa, Peryko, lecz wtedy zapóźno już będzie.

Wymówiwszy te słowa, szlachetna kobieta, którą łyzy dusiły, odeszła do alkowy, by je ukryć przed synem.

Peryko, który kochał swą matkę z równą czułością jak szacunkiem, uczynił poruszenie jakby chciał ją zatrzymać, lecz bojaźń złaczona z niepokojem umysłowym, odjęła mu władzę. Słowa mu na ustach zamarły i chwil kilka pozostał niezdecydowanym. Potém cofnął się porywco, spocone czoło przetarł dłonią i wyszedł.

W tymże czasie, Ryta, po za kratą swego okna, na próżno wyczekiwała Peryka. Niecierpliwość i niespokojność owładnęły jęj duszę.

— Przypłaci mi to—szepnęła nakoniec i zamknęła wewnętrzną okiennicę z gniewem.—Możesz przyjść teraz, a przysięgam, że będziesz czekał dłużej niż ja na ciebie...

W tój samój chwili kamień stoczył się po murze. Był to umówiony znak między niemi; oznajmiał przybycie Peryka.

— Oh! możesz wyrzucić wszystkie kamienie z Dos-Hermanas—pomyślała Ryta—a ja ci więcj już nie otworzę. Sądziś może, że zależę od twój woli lub zachcianki, żebym stała tam Bóg wie dokąd, jak twój stary osioł? Nie, nie, mylisz się mój synku.

Drugi kamień odbił się o mur z gwałtownością nie zgadzającą się ze zwyczajem Peryka.

— Ach! ach!—rzekła Ryta—zdaje się, że nasz młodzieniec napięra się... Dobrze! dobrze! załuję tylko, że nie pada ulęwa. Potém, po chwili rozwagi, dodała: Jeżeli się pokłócimy, to bezwątpienia moja ciotka obłudnica będzie się kąpała w wodzie różanej. A potem będziemy w stanie wydostać z klasztoru córkę wuja Pedra, którą ten chytry starzec trzyma tam jak sardynkę w pudełku, aby ją w końcu sprzątnął za pierwszą sposobnością chrzestnemu synowi Perykowi. Lecz, przysięgam, nie dokonają tego....

Otwierając nagle okno:

— Jestem tu!—krzyknęła. I z gniewem zwracając głos do Peryka, mówiła dalej:—Słuchaj, czyś sobie postanowił rzucać z muru? i dla czego mię budzisz? Kiedy czekam, zasypiam; a kiedy zasypiam, niech się wynoszą natręty, którzy mię budzą. Wracaj więc z kądś przyszedł, albo inną drogą, jeżeli ci się to spodoba; co do mnie, wszystko mi to jedno.

Uczyniła poruszenie, jak gdyby zamykała okiennice.

— Ryto! Ryto!—krzyknął Peryko głosem wzruszonym — mówiłem méj matce...

— Ty!—rzekła Ryta, odmykając okiennice—i cóż mi przynosisz? Lecz to jest inny cud! I cóż ci odrzekła ta matka *niemita*?

— Odpowiedziała mi: że mogę się żenić!—zawołał Peryko w uniesieniu radości.

— Lecz cóż powiesz, Peryko, jeżeli ja zmienię swoje zdanie i odpowiem ci: nie!

— Ryto! Ryto!—zawołał Peryko nieprzytomny—nie mów tego; ty chcesz być moją żoną!

— Da się to widzieć—odrzekła Ryta. Wyraz *nie* ma tę własność, że: im częściej się doń powraca, tém piękniejszym się nam wydaje....

Temi żarcikami Ryta zupełnie zatarła w Peryku uroczyste wrażenie, jakie na nim sprawiły słowa ukochanej matki.

* * *

Wracając, nasi dwaj młodzieńcy znaleźli Elwirę i Rytę oparte, każdą w rogu bramy. Miały na sobie mantyle obyte czarnym aksamitem, które były wówczas w modzie

u kobiet wiejskich, tak jak dzisiaj szale wehłniane. Twarze ich były zakryte, oprócz oczu i czoła.

Przywitawszy dziewczęta, Peryko rzekł do swój siostry:

— Elwiro, miej się na baczności!, bo ci twój ptaszek uleci. I dobrze zamknij klatkę..... Możeby i jemu zachciało się polecieć na spotkanie tych smoluchów *Gabachos* (1), którzy chcą weisnąć się do nas i narzucić nam swe prawa?

— Chodzi nawet pogłoska, — dodał Ventura, że przybliżają się do Sewilli. Czyż więc godzi się, abyśmy jak te martwe posągi pozostawali w spokoju, z założonemi rękoma?

— Ah! Chryste Jezu! — rzekła z westchnieniem Elwira: spodziewam się, że nie dopuścisz na nas takiego nieszczęścia. Nie wspominaj mi już o tém przynajmniej. O święta Anno, moja patronko, wyswobódź nas od téj klęski; a na ofiarę złożę Ci, co mi jest najmilszém: — własne włosy splecione w warkocze, z piękną błękitną kokardą, poświęcę Ci na ołtarzu.

— A ja, — powiedziała Ryta — ofiaruję świętej dwa wazon-y gwoździów, do jój kaplicy, abyście jak najprędzej sobie wyruszyli, a wrócili jak można najpóźniej.

— Oh! nie, nie mów tego, przestań żartować — zawołała Elwira głosem błagającym.

— Cóż ci to szkodzi! — dodał Ventura — niech sobie mówi. Czy myślisz że święta nie przełoży warkoczy z twych pięknych włosów nad jój bukiety?

W téj chwili zbliżyła się dobra Marya. Marya, starsza od swój bratowej, miała ze sześćdziesiąt lat wieku; ale ponieważ była małą i szczupłą, a kobiety wiejskie zwykle wcześniej się starzeją, znacznie starszą się wydawała. Marya otuliła się w mantylę i drżała jak w febrze.

— Dzieci! — zawołała widząc je przed bramą — już noc zapada. Jak możecie tak ziębnąć?

— Ziębnąć! — zawołał Ventura, odpinając koszulę; — pałam z gorąca. Zimno może być tylko w twoich kościach, moja ciociu.

(1) Hiszpańskie *Gabachos* znaczy dosłownie: brudny i obrzydliwy. Dawniej to miano dawano niektórym mieszkańcom pirenejskim; później rozebrano je do wszystkich Francuzów, w skutek gwałtów i bezprawio-w, jakich ci dopuszczali się podczas napadu Hiszpanii za Napoleona I-go.

— Nie żartuj ze zdrowiem mój synu—odpowiedziała dobra kobieta—i nie ufaj temu żeś młody, bo śmierć nie będzie zaglądać do twój metryki. A wiatr z północy tnie jakby ostrzem i powtarzam ci, że łatwiej od niego dostać w spadku zapalenia płuc, niż jakie bogate dziedzictwo w Indyach.

Mówiąc to, weszła do domu. Wszyscy też poszli za jej przykładem, oprócz Ventury, który udał się za interesami.

Zastali Annę siedzącą przy braseru (1), którego dziś nie obsiadło, jak to zwykle bywa w zimie, kółko rodzinne. Izba obszerna, na podłodze były porozkładane słomianki i dywaniki okrągłe o długim włosiu. Na około stały krzesła i wysokie ławki z poręczami. Stół jodłowy, na którym paliła się duża lampa, i fotel skórzany dopełniały skromnego umeblowania. W alkowie widzieć można było łóżko, rzezbione na sposób starożytny, okryte białą kapą z długimi frendzlami, spadającymi do ziemi, cedrową szafę na zdobnych rzeźbionych nogach, i mały także cedrowy stoliczek, na którym umieszczono statuę Matki Boskiej Bolesnej, pod szklanym kloszem na mahoniowym piedestale; oraz kilka książek treści religijnej, jak *Korona mistyczna* i *Żywoty Świętych* Ojca Baltazara, Bosch Centellos.

Gdy się już wszyscy zgromadzili, licząc w to i przyjaciela Pedro, zaczęto odmawiać różaniec. Po skończonej modlitwie, Anna wzięła wrzeciono i prząść zaczęła, Elwira zabrała się do pończochy, a Pedro, usiadłszy w wielkim fotelu, zapalił cygaro. Peryko piekł kasztany na węglach i dawał je do jedzenia Rycie. Dobra Marya odmawiała cicho różaniec, drżemiąc naprzemiennie.

— Pójdźmy—rzekł Peryko—już sucho na dworze, ziemia jak skała, a niebo czerwieni się. Zeszłego roku o tój porze, takie były ulewy, że nie było już widać gołej ziemi, a trawa jak najpiękniej porosła.

* * *

Nazajutrz Anna smutna była i pognębiona, cała pogrążona w myślach, gdy nagle ujrzała wchodzącego wuja Pedra.

(1) *Brasero* jest to naczynie z miedzi lub innego metalu, w które kładą zarzające węgle i umieszczają na środku pokoju. W Andaluzji i wielu innych okolicach, gdzie jak wiadomo nie ma pieców, jest to jedyny sposób ogrzewania się w porze zimnej.

— Jak się macie kumo — zawołał — otóż i i jestem.

— To dobrze kumie.

— Ale ja przyszedłem w celu rozmówienia się z wami.

— Mówcie kumie, i to jak można najkrocej.

— Otóż kochana kumeczko: uroiło się temu trzpiotowi Venturze iść i chce się dać zabić tym przeklętym Francuzom, których niechaj Bóg skarże!

— Na miłość Boską! kumie! wprowadzie są to nasi nieprzyjaciele w otwartym boju, ale pocóż ich przeklinać? Perryko chciał się także przeciw nim zaciągnąć: bolesne to, straszne dla nas, ale bardzo naturalne.

— Nie przeczę temu kumo (niech tam piorun spali tych bezecnych Francuzów), ale znowu jest to mój syn jedyny, którego bym nie chciał przecież utracić, bo nie oddałbym go pono za całą Hiszpanią. Ale kumo — znalazłem jeden środek dla powstrzymania go, i z tém właśnie przychodzę do was.

Mówiąc to, Pedro wygodnie się usadowił w wielkim skórzanym fotelu, starannie zawinął końce swego płaszcza, przysunął nogi do ognia i rozgościł się jak można najlepiej.

— Kumo — rzekł z tonem téj obfitości wyrażen, właściwej wielkim gadułom; — nienawidzę wszelkich wstępów, które służą jedynie do wypróbowania języka. Rzeczy lubię zawsze traktować krótko a jasno. Taki to już mój system. Dlaczego mówić godzinę o tém, co można skończyć w pięciu minutach. Co można dziś zrobić, po co odkładać do jutra? Ze wszystkich dróg, wiadomo że najkrótsza jest najlepsza; przejdźmy więc do rzeczy, bo nie mogę znieść wszelkich wykrętów ani...

— Doprawdy, kumie, zaprzeczam temu co mówisz — wyrzekła Anna przerywając mu. — Przejdź więc do rzeczy, bo odkąd tutaj przyszedłeś, trzymasz mię jak na śpilkach.

— No, no, umiarkuj się kumo, nie jestem twoim nieprzyjacielem, przecieżto za pomocą mowy ludzie się porozumiewają. Nikt nas nie ściga do licha! Jesteś moja kumo żywszą od iskry, prędszą niż błyskawica. A więc, mówiłem wam, że znalazłem jeden tylko środek powstrzymania téj racy, która ma chętkę ulecieć. Trzeba zrobić krok, który wcześniej czy później uczynić należy: jedném słowem, bez wszelkich przemów, przychodzę prosić o twoją Elwirę dla

mego Ventury; i chciałbym ażebyś zięcia którego ci ofiaruję tak mile przyjęła, jak ja pragnę twoją Elwirę powitać jak najprędzej jako swoją synowę.

Anna nie ukrywała radości, jaką jej sprawiało oświadczenie związku tak odpowiedniego pod każdym względem, a upragnionego zarówno przez rodziców jak i przez dzieci.

Nasi kumowie, jako ludzie dostatni, przystąpili teraz do ułożenia warunku aktu ślubnego.

— Znacie dobrze kumie, — powiedziała Anna — całe nasze bogactwo. Idzie tylko o podział. Dom ten z prawa należy do najstarszego syna; winnica do Peryka, on ją bowiem ulepszył i wysadził nowemi latoroślami; krowy oddaję mu także, gdyż będzie miał o mnie staranie i pieczę do końca mego życia. Zda mu się i osioł dla....

— Ależ, na Boga — przerwał Pedro — powiedźcie mi, jeśli łaska, kumeczko, co zostanie dla Elwiry, bo tak postępując jak zaczęłaś, zdaje mi się że wyjdzie ona z rąk waszych jak nasza matka Ewa, (którą niech Bóg ma w swój opiece) wyszła z rąk Stwórcy.

— Elwira będzie miała ogród oliwny.

— Na honor, dziedzictwo prawdziwie książęce! Cudownie! Ogród oliwny nie większy od chustki do nosa, z któregooby może nie wystarczyło oliwy do lampki przed Najświętszym Sakramentem.

— Dwadzieścia lat temu — wtrąciła Anna — ogród ten przynosił przeszło sto arrobów (1).

— Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr; dwadzieścia lat temu wszystkie dziewczęta szalały za mną.

— Chyba czterdzieści.

— Bardzoś złośliwa kochana kumo; ale do rzeczy. W waszym ogrodzie oliwnym brakuje więcej drzew, niż włosów na głowie świętego Piotra, a pozostałe są tak liche i nędzne, że wyglądają jak lichtarze przy mszy w Wielki Piątek.

— E! z tego co mi mówicie, widać żeście go już dawno nie widzieli. Od chwili bowiem, kiedy Peryko dowiedział się, że ogródek ten ma należeć do jego siostry, zajął się nim starannie, oczyścił, i dziś każde w nim drzewko jest pielęgnowane, jak kwiatek w doniczce. Elwira będzie miała

(1) Arroba jest miarą do mierzenia płynów: zawiera $16\frac{1}{10}$ kwart,

jeszcze w dodatku kawałek ziemi, przyległej ogródkowi, przez którą strumyk przepływa.

— Ależ zwróćcie uwagę kumo, że ziemia ta nigdy nie rodzi, bo ten strumyk pół roku jest wyschnięty, a pół bez wody. Co do mnie lubię żeby siano było sianem, a wino winem; otrąb w sianie, a wody w winie nie lubię. Grunta te są nieżyźne i leżą odłogiem, i chyba osioł mógłby się na nich czém pożywić. Ale mówiąc między nami, bo nikt nas nie słyszy, nie sprzedaliście to kumo łońskiego roku, dwóch tucznych wieprzów, z których każdy ważył po 15 arrobów (1), funt po 2 złote przeszło? sto firtelów (2) jęczmienia po 15 realów (3), sto łagwi (4) wina i pięćdziesiąt octu? A więc, czy nie dobra nadarza się teraz właśnie sposobność wydostać na świat te pieniążki, które zapewne leżą wszafie i starannie zamknięte. Kiedy jego królewska mość Karlos IV przybył do Heres podano mu wyśmienite wino, ach, co za wino! nie takie pewno jak z waszój winnicy. Król, dobry znawca, wychwalał je w wyrazach pełnych zadowolenia. Wtedy alkajde (5) który rósł z radości i pychy, (bo trzeba wam wiedzieć, że ci Herejczycy są dumniejsi z wina swego, niż ja ze swego syna), wtedy alkajde, mówię, rzekł: „Najjaśniejszy Panie, niech wasza królewska mość wie, że mamy jeszcze lepsze!” — „Tak?” — powiedział król; — „a to się wam zda na *lepszą sposobność!*” Tak i wy teraz zróbcie kumo.

— Ach kumie, przecież te pieniądze i inne jeszcze, nie dla kogo innego chowam, jeno dla Elwiry, mojej najukochańszej córki.

— No to tak gadajcie, to mi rzecz! — zawołał Pedro uradowany. Kumo, na honor, warta jesteś całego Peru. Co zaś do Ventury, wszystko co mam, jest jego, bo Marcela, jak wiadomo, ma wstąpić do zakonu. Mój syn także przecież nie obdarty: a najprzód mój dom...

(1) Arroba, waga 25 funtowa.

(2) Firtel = półłwiartki.

(3) Real znaczy 15 groszy.

(4) Łagiew naczynie skórzane do wina; łagiew wina waży około 25 funtów.

(5) Alkajde, urzędnik po miastach w Hiszpanii.

— Istny kurnik—dorzuciła Anna.

— Daléj, moje oślice...

— Stare jak świat — znów przydała Anna.

— Daléj, moje kozy...

— Te więcéj dają nawozu, niż mléka, séra, i kozłat.

— Daléj, mój sad—ciągnął cierpliwie Pedro nie odpowiadając na nagrawania Anny, która tym sposobem oddawała mu wet za wet...

W podobnym tonie ciągnęła się rozmowa długo, aż Anna i Pedro zawarli umowę co do dzieci swoich jako najlepsi w świecie przyjaciele.

Po odejściu Pedry, Anna wzięła na siebie mantylę i przewyciężając swą boleść i wstręt prawdziwy, udała się do domu Maryi.

Marya, która dla bratowej żywiła w swém sercu uczucie przywiązania i wdzięczności, jak również szacunku i uwielbienia, powitała ją z radością.

— Błogosławione oczy które cię tu widzą--zawołała, widząc ją wchodzącą. Cóż za dobra myśl sprowadza cię do mnie?

I pośród tych wykrzykników pośpieszyła podać jej krzesło.

Anna usiadłszy objawiła jéj cel swych odwiedzin.

Ta wiadomość napełniła taką radością serce biédnej wdowy, że nie umiała nawet wyrazić swego szczęścia.

— O! moja siostro!—wołała przerywanym głosem. Co za szczęście! Peryko! to dziecię méj duszy! świętemu to Antoniemu winnam takie błogosławieństwo! A cóż Anno, jesteś z tego zadowolona? Widzisz moja siostro, Ryta jest lekkomyślna; ale w gruncie dobra dziewczyna: jest może trochę za samowolną, ale to jedynie z mojej przyczyny. Byłaby inną gdybym ją była wychowywała jak ty swoją Elwirę. Moja Rytką trochę za płocha, ale zobaczysz z czasem wszystko się zmieni, i jak pójdzie za mąż będzie zupełnie inną. Wszystko to niestety, z mojej słabości i skutkiem jéj młodego wieku. Ryto! Ryto! przybywaj, twoja ciotka jest tutaj; co mówię? raczéj twa matka, bo cię chce połączyć ze swym synem.

Ryta wstała, sztywna jak bankier, poważna jak dyplomata.

— Co mówisz?—zawołała matka uniesiona.

— Że o tém wiedziałam—odpowiedziała zimno Ryta.

— Otóż masz—rzekła matka półgłosem: wymuszonaś bardziej niż księżna jaka, a posępniejszaś od sowy.

— A więc chce matka, abym tańczyła fandanga (1), że mam iść za mąż,—odpowiedziała Ryta głosem podniesionym.

Anna wstała i wyszła.

Marya do żywego tknięta niepoprawnym postępowaniem swjej córki, odprowadziła bratową aż na ulicę oświadczając jej wdzięczność swoją i przywiązanie.

* * *

Wzięto się więc z zapałem do przygotowań godowych; ułożono, żeby wesele Elwiry z Wenturą obchodzić pierwój niż zaślubiny Ryty i Peryka, gdyż ci nie mieli jeszcze pozwolenia z Rzymu.

Pedro chciał żeby córka jego była na ślubie brata przed wstąpieniem do zakonu; wskutek czego postanowił jechać po nią do Alkali. Marya miała tam właśnie odebrać sumkę należną, której jak raz potrzebowała. Postanowiła więc udać się w tę podróż razem ze starym przyjacielem.

Nasza tedy para, wsiadłszy na osłów, pojechała z Dos Hermanas do miasta. Przed tym jeszcze, przeżegnali się i pomodlili, szczerze i po chrześcijańsku prawdziwie do św. Rafaela archanioła, patrona wszystkich podróży.

Marya usadowiwszy się wygodnie na siodle, miała na sobie szeroką suknię indyjską, zfałdowaną około pasa i czarny kaftan wełniany z wązkiemi rękawami zapinającemi się na mankietkach za pomocą srebrnych guziczków. Na szyi chustkę muślinową białą, zapiętą na spilkę, aby nie obcierała się o włosy. Było w tém niby jasnowidzenie przyszłej mody, mającej w trzydziści lat później panować pośród najpierwszych elegantek. Mała woalka z końcami związanemi pod brodę okrywała jej oblicze.

Pedro nosił prawie taki sam ubiór, jakiśmy opisali, mówiąc o Venturze. Tylko sukno było grubsze, a pas był z czarnej włóczki, jak przystało na wdowca; prosty kape-

(1) Fandango jest rodzajem tańca w Hiszpanii.

lusz, o szerokich skrzydłach, nie był już zalotnie na bok przechylony.

— Jakież to dzień piękny—mówiła Marya—pola rozkwitają, a słońce zdaje się im mówić: rozweselcie się.

— Tak—odrzekł Pedro—jasnowłosy Febus ogarnął sobie kędziory na skroniach i naostrzył promienie, kłujące jakby śpilki; następnie wyciągnął z kieszeni kapciuszek z tytoniem z króliczej skóry i zrobił sobie cygaretkę.

— Maryo—przemówił po chwili Pedro, wiesz co przychodzi mi na myśl, że powrócisz z Alkali z próżnemi rękoma. jak jedziesz. Ale powiedz mi, co za zły duch cię natchnął, żeś ty, taka chrześcianażka pożyczyła pieniędzy temu hołyszowi? Alboż nie wiedziałaś, że on nie miał nawet głowy gdzie skłonić?

— Lecz pomnijcie—odpowiedziała Marya—że właśnie biednym się pożyczają, bogaci tego nie potrzebują, a zresztą to przyjaciel.

— A nie wiesz-to, dobra duszo, że ten co pożycza przyjacielowi utraci i pieniądze i przyjaciela. Ale ty Maryo, zawsze dasz się złapać na wędkę. Ja ci mówię, że on ci zapłaci w trzech terminach: późno, źle i nigdy.

— Zawsze przypuszczasz rzeczy najgorsze.

— Prawdę jest, że mi się to udaje—odpowiedział przebiegły starzec—zresztą jestto przysłowie: myśl źle, a powiedzie ci się.

Następnie zaczął sobie nucić romanse na temat ogólnie znany.

Było to jakoś około drugiej z północy,

A historyjka to arey ciekawa,

Wnet też ją wam rozpowiem.

Marya umilkła upojona świeżem powietrzem. Kołysana łagodną jazdą siedząc na siodle drzemała.

W połowie drogi stał dom zajezdny. Kiedy nadjechali ujrzeni żołnierzy niedbale rozkładających się na ceglanych ławkach, przed drzwiami. Zoczywszy przybliżających się podróżnych, zaczęli z nich żartować.

— Wuju! dokądże to wybraliście się w tym wielkim poście?

— Ciotko!—rzekł drugi—czy jeszcze istnieje ten kościół, w którym cię chrzczono?

— Ciotko!—dodał trzeci—czy pamiętasz aby swoje wesele?

— Wuju!—pytał czwarty—czy jedziesz do Alkali na ślub z jaką młodą dziewczyną?

— Nie—odpowiedział Pedro—złaząc powoli z osła, czekam aż trochę rozumu nabiorę, a dziewczę urośnie.

— Ciotko, może chcesz, żebyśmy ci pomogli zsiąść z tego paradnego rumaka?

— Byłoby to wcale nie źle—odrzekła dobra kobięcina.

Przybiegli natychmiast i ofiarowali jej swe usługi, uprzedzając jedni drugich.

Pedro zastał w oberży wielu starych znajomych, ci go wciągnęli między siebie i musiał z niemi szklanice wychylać.

— Teraz—rzekł—na mnie kolój zapraszać. Moi kumowie i wy moi panowie, których znam chyba dla tego, żeby ich poczęstować, zrobicie mi przyjemność i zaszczyt, gdy wypijecie szklanek anyżówki za moje zdrowie.

— Wuju Pedro—mówił jeden młody wojak z Dos-Hermanas—opowiedz nam jaką historyjkę, a ja przez ten czas będę ci szklanek wciąż napelniał, ażeby ci nie było sucho w gardle.

— Ach Jezu!—zawołała Marya łyknąwszy kroplę anyżówki i usiadłszy na workach z jęczmieniem—jeśli się Pedro rozgada, to dziś nie zajedziemy do Alkali, chyba, gdyby się znów stał z nami cud Jozuego.

— Nie bój się Maryo—odrzekł Pedro—mogę ci przyrzec, że nie będziesz siedzieć na tych workach aż do sądu ostatecznego.

— Czy to prawda, wuju Pedro—spytał wojak—że w dawnych czasach, kiedyście to oboje byli młodzi, byłeś pierwszym konkurentem Maryi? słyszałem to z ust mojej matki.

— A naturalnie—odparł Pedro—i to mi zaszczyt przynosi.

— Kłamstwo!—krzyknęła ciotka Marya—równe temu, jak gdyby ktoś powiedział, że ztąd widać moje domostwo.

No, no, Pedro, zkądże ci znowu te przechwałki! W całym życiu nikt się o mnie nie starał, jeno mój mąż, świeć Panie jego duszy.

— Matko Maryo! matko Maryo! jakże masz pamięć krótką! wiedz bowiem, że można królowi odebrać koronę i zrzucić go z tronu, ale nigdy nie odejmiesz mu chwały, że panował.

— To prawda—odpowiedziała Marya— że mi nadszkał na weselu mojej krewniaczki, i że raz wieczór, przyszedł pod kratę mojego okna. Ale tak go przestraszono, że uciekał, jakby mu do nóg przypięto skrzydła i ręczę, że się nie zatrzymał póki nosem nie zarył o ziemię.

— Czy to być może?—zawołali wszyscy głośno śmiejąc się na całe gardło;—takto uciekałeś ze strachu wuju Pedro!

— Nie myślę się wcale chełpić—odrzekł spokojnie— i nie chcę być wyższym od św. Piotra.

— To dowodzi więcej bojaźni niż wstydu—odparła ciotka Marya, zaczynając się już niecierpliwić.

— Patrzcie moi panowie—rzekł Pedro przymrużając oka, z miną figlarną—ona mi jeszcze tego nie wybaczyła. I cóż dziwnego! miała słabość do mnie! Chciałbym jednak wiedzieć, dodał, kto z was jest nowym Cydem Kampeadorem, i ktoby się nie uląkł ducha z tamtego świata.

— Nie masz nic dziwniejszego jak twój strach,—przerwała Marya—kamień poruszony przez jakąś brykę furmańską, ot i cała tajemnica.

— Opowiedz nam to wuju Pedro, a my będziemy sędziami nieporozumienia waszego—zawołali wojacy.

— Otóż tedy, moi panowie, wiecie lub nie wiecie, że krata, o której wspomniała Marya była w miejscu samotnym i oddalonym i wychodziła na wieś gdzie się miasteczko kończyło.

Niedaleko ztamtąd był obraz przedstawiający dusze w czyscu. Przed nim paliła się lampa. Na widok jej światła, przyszedł mi na myśl wypadek, jaki się zdarzył nieco dawniej. Pasterz jeden, noce całe przepędzał przed tym obrazem z próżnemi bukłakami (1), i te nazajutrz rano znajdo-

(1) Naczynic skórzane na napoje.

wał pełne mléka. Zwykle zniżał lampę i zapalał u niej cygaro, nic sobie z tego nie robiąc. Aż raz w nocy, a było to w *Zaduszk*i spuścił lampę jak zwykle, aliści tą razą nie mógł już zapalić cygara, gdyż światło zgasło. Dziwiło go to nie pomalū, czas był bowiem pogodny, nawet najmniejszy powiew wiatru nie potracał liści.

Posunął lampę do góry i odszedł w swoją drogę, lecz jakież było jego zadziwienie, gdy w kilka chwil potém, odwróciwszy głowę, ujrzał lampę zapaloną, a do tego płonącą tak żywo, jak nigdy jeszcze.

Poznał, że był w tém palec boży, i żałując swego grzechu ślubował, dla ukarania się, że nigdy przez całe życie, nie będzie zapalał cygara. I trzeba wam wiedzieć, mości panowie—dodał Pedro poważnie,—że słowa dotrzymał.

Pedro umilkł, a nikt mu nie przerwał.

— Wypadek ten zasługuje na uwagę;—wtrąciła Marya po chwili, bo wszyscy od razu zamknęli usta, jak gdyby anioł przeleciał nad niemi, a powiew jego skrzydeł przejął wszystkich niemém uszanowaniem.

— No, Pedro, kończ-że nam tę opowieść—wykrzyknęli chórem wojacy.

— Otóż mości panowie—ciągnął Pedro—wiedźcie że ta lampa natchnęła mię uszanowaniem połączoném z pewną trwogą. Dobrzeż to, myślałem sobie, przyjsć i tak wzdychać w obliczu dusz świątych, co cierpią i pokutują! Zapewniam was, moi przyjaciele, że światło to płonące na cześć zmarłych wzruszyło mię do głębi. Zdało mi się, że czuwa i pamięta, że spogląda na mnie i mnie oskarża. Jużto widziałem je smętne i płaczące, coś nakształt *de profundis*, jużto zdało mi się nieruchomém, jakby oko trupa jużto znowu przedłużało swój płomień i kierowało się ku mnie jakby palec ognisty, grożąc, że mnie ukarze i zgromi. Otóż, jednéj nocy, gdy uważałem że światło jest groźniejszém i straszniejszém niż zwykle, kamień wymierzony ręką niewidzialną uderzył mię w głowę tak silnie, że zostałem ogłuszony, a gdy chciałem uciekać, widziałem dokoła siebie czyste jeno pole. Podzielałem tedy smutny los owego murzynka, który mając przed sobą troje drzwi do wyjścia, nie trafił do żadnych, tak że biegnąc zapamiętale, zamiast dostać się do domu, przybyłem na plac gonitw.

— Wuju Pedro—powiedział jeden ze zgromadzonych — często słyszałem mówiących o tym murzynku i o jego losie, lecz nie znam jego historyi. Czy nie mógłbyś nam tego opowiedzieć?

— Owszem—odrzekł wuj Pedro—lecz jestto bardzo znana historya.

Był tedy murzyn bardzo bogaty, a mieszkał naprzeciw młodej i szlachetnej pani, w której się zakochał szalenie. Widząc, że obcy mężczyzna nieustannie zwraca na nią baczną uwagę i ściga ją, opowiedziała rzecz całą mężowi. Mąż doradził jej wyznaczyć murzynowi schadzkę na noc przyszlą. Tak się też i stało. Murzyn przybiegł, niosąc z sobą bogate podarki. Wielka pani przyjęła go z udaną uprzejmością w pokoju, z którego wychodziło troje drzwi, i w nim wspaśniałą zastawiono ucztę. Nasz murzyn, jak sobie łatwo wyobrazić, w wybornym był humorze. Zaledwie atoli siedli do stołu, światła pogasły, a mąż wszedł nagle z porządnym korbaczem w rękę i dalejże smagać nim plecy nieproszonego gościa, a ten obracał się na wszystkie strony, nigdzie nie mogąc spostrzedz drzwi dla wymknięcia się, i za każdym razem kręcił się jak na śpilkach, krzycząc: Biędny murzynku! jakież los twój smutny! Troje jest drzwi a nie możesz do żadnych trafić! Nakoniec natrafia na jedne z nich i naturalnie chce się wynosić co prędzej, lecz w tém mąż zastępuje mu drogę z tyłu i zrzuca go na dół ze schodów. Na krzyk jego budzi się służący, pyta: kto tu? — To znaczy—odrzućcie nieszczęśliwy,—iż jestem ukarany, wszedłszy lekko na palcach, a schodzę teraz ciężko na grzbiecie.

— Wuju Pedro!—powiedział śmiejąc się młody wojak i czyż to dla tego pokłóciliście się oboje?

— Oh! nie—odpowiedział Pedro—w ośm dni potem, uzbroidem się w odwagę i powracałem do kraty, ale już mi Marya okna nie otworzyła.

— Zapewnie dla tego, że nie chciała, byś zginął jak święty Stefan.

— Nie o to tu chodzi, mój chłopcze. Prawda że Miguel Ortiz skończył czas swój służby; porzucił płaszcz wojaka, powrócił do miasta, ale Marya sądziła, że lepiej będzie dać mu odkosza, wybierając drugiego, który...

— Nie bał się—przerwała Marya—rozmawiać z dziewczyną, dobre mając zamiary, tuż przed tym obrazem przedstawiającym cierpiące dusze. Czyż sobie wyobrażasz że trafem wszystkie te dusze były bezżenne?

— Tak sędzę, Maryo, bo ludzie żonaci już mają czyścić na tym świecie: kobiety gotują go dla mężczyzn, a matki dla synów.

— Prawdę jest, mości panowie, że na nieszczęście nie mógł zostać w Dos-Hermanas w dzień wesela mego rywala i schroniłem się do Alkali.

— Gdzie—dodała Marya—tak o mnie pamiętał, iż się niebawem ożenił z drugą.

— Rzecz jasna—odpowiedział Pedro—gdyż zawsze miałem to na myśli, że po śmierci króla, trzeba będzie króla nowego.

— No, jedźmyż już, ty wieczny gaduło—rzekła Marya wstając.

— Tak jedźmy—dodał Pedro—bo słońce tak dogrzewa, że, jak sędzę, deszcz będzie padał.

— Zachowaj nas Boże od niego—krzyknęła Marya—wolę raczej muchy i słońce dojmujące.

— Do zobaczenia, moi przyjaciele!

— Jakże ci się śpieszy, ciotko Maryo!—rzekł jeden—czy się boisz żebyś do ziemi nie przyrosła?

— Nie, Józefie, tylko że nasze osły nie chodzą tak prędko jak wasze muły.

— To pewna—odpowiedział Pedro podsadzając Maryą—że tutaj wszystko jest stare: kawalerowie, jeźdźcy i bydłota. Mój osioł jest tak stary, że nie wie na którą rzeczywistość nogę kuleje, gdyż kuleje na wszystkie cztery, a osioł Maryi jest taki starszek, że gdyby mógł mówić, byłby niewątpliwie nam wszystkim *tykał*. Do widzenia, mości panowie!

— Sześćsiłwój drogi i prędkiego powrotu! wuju Pedro.

Po takim odpoczynku, nasza para puściła się w dalszą drogę; przybywszy do Alkali, każde udało się za swoim interesem.

Wgodzinę potem wrócili. Pedro przyszedł z córką. Marcella rzuciła się z radością i rozrzewnieniem w objęcia Maryi; Marya obsypała ją pieszczotami.

— No, cóż, odebrałaś swoje pieniądze?—zaraz zapytał Pedro.

— Ofiarowali mi—odrzekła Marya—teraz tylko połowę, albo wszystko we żniwa, a że mi potrzeba teraz, przeto wzięłam choć połowę.

— Dobrze, Maryo, dobrze! bo szczęśliwy ten, kto choć cokolwiek posiada, i lepszy wróbel w garści niż dziesięć na dachu.

Pedro wsadził córkę na osła i wszyscy wrócili do Dos-Hermanas. Marya chowała swoje pieniądze, Marcella zaś kwiaty, ciasta i łakocie, które w podarunku wiozła, a Pedro czuwał nad niemi.

*

Przybycie Marcelli^{*} obudziło wielką radość, Ryta tylko nie mogła ukrywać niechęci z obecności téj, którą obie rodziny przeznaczyły były na żonę Perykowi. Marcelli nigdy nawet na myśl nie przyszło żeby mogła dać jaki powód do urazy Rycie. W dzieciennéj prostocie nie pojmowała wcale tego uczucia. Od kołyski niemal przebywając w klasztorze i wychowana w małym kółku rodzinném; patrzyła jakby przez mgłę na zabiegi i namiętności życia, nie stawiając ich wyżej nad niewinność i szczęście. Ukochała sercem całym pocziwe zakonnice, swój ogródek, cichą pracę polubiła; przywiązała się do pobożnej modlitwy, do swego kościoła i do świętych obrazów. Wstąpiła do klasztoru nie z egzaltacyi, lecz z zamiłowania, nie z nienawiści ku ludziom, lecz z własnej chęci; nie dlatego żeby nie mogła znaleźć w świecie odpowiedniego sobie miejsca i wygodnego utrzymania, lecz dla tego, że uważała za lepsze wszystko co klasztorne.

Tego to właśnie wielu ludzi nie rozumie, lub udaje, że o tém nie wie. Wszystko da się wytłumaczyć na tym świecie: występki, nierząd, najdziksze wybryki, ludożerstwo nawet; lecz niepodobna wytłumaczyć skłonności do życia cichego, w ukryciu, bez troski o teraźniejszość i bez niepokoju o przyszłość.

Wszystkiemu na świecie można wierzyć; są tacy, co wierzą wolnej kobiecie, w moralność złodzieja, w filantropią gilotyny; są tacy, którzy wierzą w mieszkańców na księżycu, we wszelkiego rodzaju *puffy*, jak mówią Anglicy, albo *kaczki*, jak mówią nasi sąsiedzi, albo wreszcie w *bolas y patranas* (bezczelności i głupstwa), jak my mówimy.

Sceptyczna satyra, co ją światem nazywają, niszczy i pożera wszystko, nie ma bowiem nic łatwowierniejszego jak niedowiarstwo, ani nic zabobonniejszego nad bezbożność; lecz nie wierzy w poczucie czystości, w skromne wymagania, korne serca, ani w uczucia religijne. Ludziom naszej epoki, chcącym być wyrazem opinii publicznej i nią kierować, kobieta pragnąca ciszy zakonnej wydaje się kozłem ofiarnym, albo potworem, wymykającym się z pod ogólnego prawa przyrody i targającym najświętsze węzły swego powołania. Tak, o filozofowie, prawdziwie są one godne i szlachetne, wasza intuicya stworzyła kobietę emancypowaną, a wyparliście się niewiasty pobożnej, pokornej, niewinnej! Wynóście się, wynóście się het tam, za Pireneje: zasady wasze rozwiozły się i bezbożne. W Hiszpanii nie znajdziecie ludzi naukowych tak ograniczonych, żebyście ich mogli oszukać, ani dusz tak słabych, by na nie wasza przewrotność mogła oddziaływać.

Marcella po raz pierwszy w towarzystwie Anny i Elwiry wyszedłszy z domu, pierwsze swe kroki skierowała ku kościołowi i kapliczce św. patronki miasteczka. Pocziwa zakrystyanka oprowadzała je. Kaplica była długa a ciasna; w głębi znajdował się ołtarz św. Anny, a na stopniach mogłeś ujrzyć w kuli kryształowej drewniany krzyż i dzwonek.

Obraz św. Anny widocznie był bardzo starodawny. Wyobrażał ją z Najświętszą Panną na ręku w sposób, w jaki zwykle przedstawiają Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus.

Naprzeciw muru, po prawej stronie, wisiały dwa wielkie obrazy, z których jeden przedstawiał anioła, ukazującego się dwom dziewczynkom; drugi zaś, też same dzieci obok człowieka, kopiaćego rów w dzikiej i samotnej puszczy. Po prawej stronie widać było żelazną kratę, otaczającą groby kościelne, do których schodziło się po małych schodkach.

Marcella i jej towarzyszki po nabożeństwie usiadły w cieniu altany na niskich stołkach, które tylko co zakrystyanka im przyniosła. Marcella uprosiła zakrystyanki ażeby opowiedziała jej treść wielkiego obrazu, znajdującego się w kaplicy. Pocziwa staruszka, której to właśnie było na rękę, rozgadała się na dobre i w te odezwała się słowy: „W czasach zamierchłej przeszłości panował w Hiszpanii Don Rodryg, człowiek rozwiozłych obyczajów; pod owe

zaś czasy zwyczajem było, że wszyscy magnaci przysyłali na dwór swe córki. Jak raz, zdarzyło się, że szlachetny hrabia Don Julian, wyprawił tam swą córkę, piękną Floryndę; ujrzawszy ją król, zapłonął ku niej gwałtowną namiętnością. Ale Florynda była cnotliwą, jak na stan jej przystało; król tedy postanowił gwałtem dopiąć tego, czego nie mógł pozyskać po dobrej woli. Zniesławiona piękna Florynda, posłała do hrabiego list, skreślony łzami i krwią: „Ojcze, ty i ja jesteśmy zhańbieni. Dla ciebie byłoby lepiej, dla mnie pożądanśszem, gdybyś mógł raczej mię zabić, niżeli tu wysyłać. Pomścij się zniewagi tobie i mnie zarazem wyrządzonój.”

„Hrabia, gdy na list ten rzucił okiem, zbladł jak chusta i padł bez zmysłów. Przyszedszy do siebie, przysięgł na rękojeść szpady, że poszuka zemsty tak straszliwej, o jakiej dotąd nikt nie zasłyszał nawet: jakiej wymaga wielka zniewaga. W tym celu porozumiał się z Maurami, oddał im Taryfę i Algesiras, a tłumy ich, niby gwałtowne wód bałwany przerywające tamy, zalały Andaluzyą.

„Przybyli wkrótce do Sewilli, nazwanój wówczas Hispolis, a którą oni znowu nazwali Oryfo. Chrześcianie, przedtém niż pomyśleli o własném ocaleniu, schronili pod ziemię czczony obraz swój patronki św. Anny. Zostawał on tam przez lat 500, dopóki święty król Ferdynand, pan kraju, wypędzając zeń Maurów, nie obległ Sewilli: Maurowie stawili tak mężny opór, że król zwątpił o wygranej. W tak smutném położeniu, w wieżach *Herveros*, dziś już rozwalonych, ukazała mu się święta nasza Matka, ożywiając w nim odwagę i obiecując zwycięstwo. Tak pocieszony bohater odstąpił od oblężenia i przeniósł się do swych królewskich posiadłości do Alkali. Tam kazał się zebrać wszystkim artystom, jakich tylko mógł znaleźć, rozkazując im zrobić obraz zupełnie taki, jaki widział we śnie; lecz żaden z nich nie przystał na to, co bardzo zasmuciło króla.

„Wkrótce potem przybyło doń dwóch młodzieńców, niezwykłej piękności w szatach pielgrzymich i przyrzekli mu wykonać żądany obraz. Król uniesiony radością, zawiódł ich do swego namiotu, gdzie się znajdowało wszystko potrzebne do malowania. Wiedziony gorączkową niecierpliwością chciał zaraz nazajutrz oglądać ich pracę, ale pielgrzymi

już byli znikli. Niczego nie tknięto, widziano tylko ołtarz, którego przedtém nie było, a po nad nim obraz Matki Boskiej taki, jaką ujrzał po raz pierwszy. Święty król uznał cud boży; upadł na ziemię i wylewał łez potoki przed tym obrazem, co mu niepokoju zrządził tyle i widział że Królowa Aniołów przysłała mu swój wizerunek przez posłańców niebios.

„Później, kiedy zdobyto Sewillę, Ferdynand umieścił Najświętszą Pannę na wozie tryumfalnym, ciągnionym sześcioma białymi końmi; sam zaś szedł boso, chcąc złożyć ją w katedrze, gdzie jest czczoną i będzie aż do końca wieków pod nazwą Matki Boskiej królów. W kaplicy i u stóp Jój spoczywa ciało świętego monarchy: relikwii tych może pozazdrościć Hiszpania cała.

„Niedługo po tym wypadku, wielki nasz król, którego ufność w opiekę nieba granic nie miała, przygotował się do nowego napadu. Rozłożył się obozem z walecznymi zastępami na wzgórzach, leżących obok Buena-Vista. Zmęczeni podróżą, wycieńczeni gorącem i pragnieniem, żołnierze upadali bez sił i odwagi. W tém zmartwieniu święty król stawia ołtarz i umieszcza nad nim obraz N. Panny, który wioził ze sobą: „O! wspomóż, wspomóż mię, mówię; jeżeli dziś za Twą pomocą zatknę krzyż na murach Sewilli, ślubuję Ci wystawić tutaj kaplicę, do której przybędziemy Cię błagać i złożymy na cześć Twą wszystkie sztandary, pod którymi zwyciężymy Maurów”.

„W téjże chwili, u stóp pagórka wytryska przepyszna fontanna o siedmiu źródłach, które do dziś dnia jeszcze płyną, a zowie się *królewską fontanną*.

„Ludzie i konie ochłodzili się i do sił wrócili. Sewillę zdobyto, a król Maurów Aixa, przyszedł w koszuli, podając zwycięzcy na złotej tacy klucze od grodu, przechowane w skarbcu, pomiędzy relikwiami katedry.

„W tym samym czasie—ciągnęła nieustrudzona zakrystyanka—w prowincyi Leona żyły dwie młode siostry imieniem Elwira i Estefania. Tym ukazał się anioł, i polecił im udać się w drogę dla odkrycia obrazu świętej Matki, *Nuestra Senora*, który niegdyś chrześcianie ukryli w ziemi.

„Ojciec dwóch tych świętych dziewczątek, Gomez Nazareno, równie jak one pobożny, chciał im towarzyszyć; lecz

w chwili, gdy już się mieli udać w podróż, mocno się zaniepokoił, nie wiedząc w którą iść stronę. Wtém głos niewidzialnego dzwonka rozlega się w powietrzu: poszli tedy aż do miejsca tego, gdzie znikł pod ziemią.

Pod owe zaś czasy miejsce to było nieuprawne, dzikie i zarośnięte krzewami. Maurowie uprawiający ten kraj, nie mogli nigdy dotrzeć aż do téj ustroni, którą anioł pilnował ze szpadą w ręku.

Nasi podróżni z pośpiechem poczęli kopać ziemię i znaleźli po niej jakimś czasie szlifowany kamień, a podniósłszy go, ujrzeli ukryte wejście do jaskini. Tu znaleźli obraz święty, krzyż i dzwonek, który im przewodniczył, jakby gwiazda czarnoksiężka, lampę palącą się jeszcze, zawieszoną przed ołtarzem, gdzie był umieszczony wizerunek, ale już dopalającą się, bo blisko od lat tysiąca goreje na cześć téj świętej.

Wydobyli ztamtąd cudowny obraz i wystawili mu kaplicę. Pod ich opieką domy wznosiły się dookoła, dając początek wiosce, nazwanej siołem *Dwóch-Siostr* (Dos-Hermanas), na pamiątkę swych założycielek."

— Widzicie—mówiła zakrystyanka wstając i wchodząc do kaplicy—widzicie ten obraz, którego nie naruszyć nie mogło: ani wilgoć ziemi, ani zmiany powietrza, ani czas niszczący; na nim widzicie dwie siostry i ojca, pobożne narzędzia miłosierdzia boskiego.

W tym szanownym przybytku znajduje się wielka liczba *ex voto*. Siedm małych nóżek srebrnych wiszących i związanych razem różową wstążeczką zwróciło uwagę Marcelli.

— Co oznacza ta ofiara?—spytała zakrystyanki:

— To Manéós, ślusarz ją tu przyniósł. Dostał raz nagle takiego bólu w nodze, że mu się życie sprzykrzyło. Żona wyczérpawszy napróżno wszystkie doradzone leki, zawiozła go do Sewilli, rozciągniętego na wózek; ale i tu nie doktorzy nie pomogli.

Tak postradał całe swe mienie napróżno. Pewnego dnia, gdy mu ból mocniej niż zwykle dokuczał, a dzieci wołały chleba co przejmowało go boleścią; wzniosł serce do Boga i biorąc za pośredniczkę świętą patronkę prosił z zapalem o zdrowie tak pożądane dla całej rodziny: „O święta,

mówił, kiedy synowie moi nie będą już potrzebowali oddać pomocy, umrę spokojnie; a jeśli za Twém wstawieniem się odzyskam zdrowie, ślubuję Ci zawieszać rok rocznie nóżkę srebrną nad ołtarzem Twoim, aby świadczyła o wszechwładnej Twój dobroci."

I dzięki świętój, Manéos zaraz nazajutrz odzyskał zdrowie.

Upływały lata, synowie Manéosa podrosli i poszli na swój chleb; pozostała mu tylko córka, ale i ta miała narzeczonego, który prosił o nią ojca. Huczne było weselisko ale Manéos stał się jakimś marzącym i smętnym jeno oddawał się myślom. Dnia zaraz następnego uczuł że mu nie-dobrze; położył się i nie wstał więcej. To o co prosił, otrzymał: obowiązek jego skończył się na ziemi.

-- A te kłosa? -- zagadnęła Marcella, spostrzegłszy sнопек, związany niebieską wstążką.

-- Ofiarowała je -- odrzekła zakrystanka -- Petrola, żona Gomeza. Biędni ci ludzie całodzienną zaledwie pracą zdołali wyżywić siebie i ośmioro dzieci. Z oszczędności obsiawiali mały kawałek ziemi. Radowali się wielce z niego: było to przedmiot, na którym największe swe nadzieje budowali. Ztąd pielęgnowali go z czułością, a pole opłacało im się dobrze. Zboże rośło, jak gdyby go codzień skrapiał wodą święconą.

Razu pewnego weszła sąsiadka wracająca z równiny i powiedziała, że *langosta* padła na zboże. *Langosta*! jedna z siedmiu plag egipskich! Piorun spadający z nieba nie byłby bardziej przeraził biędnej kobiety. Wyszła, nie wiedząc co robi opuszczając dom i synów, biegła jak szalona z rękoma rozpostartemi, krzycząc: „Święta Anno, święta Anno, gdzie chleb dla mych dzieci?”

Nakoniec na skraju pola spostrzegła ślady langosty, która padła na zboże, zniszczywszy je całkiem. Cała atoli szkoda nie przeszła po za granicę tego kawałka, reszta zaś osłonięta jakby murem niewidzialnym, zostawiła zboże nie-naruszone dla biędnej matki, wzywającej pomocy świętój Anny. Możecie sobie wyobrazić radość pocziwój kobiety, a że była biędną, mogła przeto kilka jeno kłosów przynieść świętój w ofierze.

Anna, Elwira i Marcella z sercem wzruszoném i oczami zażawionémí słuchały zakrystyanki. Z tém uczuciem autor téj nowelli słuchał sam i przeléwa teraz tę opowieść na papier. Spraw to Boże, by ją czytano z takim samém wrażeniem!

* * *

Maj uśmiechał się do ziemi, ten miesiąc tak pełen słońca, tak ożywiony śpiewem ptaków i szmerem niezliczonych owadów, tak woniejący kwiatami, miesiąc najszczęśliwszy ze wszystkich, poświęcony Matce Boskiej.

Nadszedł czas zaślubin Ventury z Elwirą, od dnia tego słońce wstało weselsze, radosne jak przyjaciel, co pośpieszał z wynurzeniem im swych życzeń. Wychodzili właśnie do kościoła. Anna przyciskała do serca córkę, którą kochała tak czule, całowała ją w głowę z zapalem i w oczy, jakby je ołśnić miała. Wuj Pedro, wesół, ruchliwy jak nigdy, nawet się przewyższał w gadulstwie i w śmiesznych konceptach: Marya zachwycona prawdziwie, drżała z radości.

— Siostró moja—mówiła Marcella do Elwiry—po moim niebieskim małżonku, ukochanym Jezusie, twój jest najlepszym i najdoskonalszym. Widzisz jaki mój Ventura piękny! Gdyby jeszcze lilia w dłoni, możnaby go wziąć za św. Józefa na zaręczynach.

Miała słusność, gdy tak wychwalała swego brata. Ventura elegancko i bogato ubrany, zwinny i zręczny, jakim go jeszcze nie widziano, nalegający na wszystkich o pośpiech w wybieraniu się w drogę, był jakby typem dla rzeźbiarza, chcącego odtworzyć rysy Achillesowe.

Peryko zapomniał o Rycie; zapatrzywszy się na swą siostrę, wlepił w nią wielkie oczy, pełne słodyczy w przeciągłym spojrzeniu, w którém tyle było czułości, że jej opisać niepodobna.

Ryta miała minę obojętną i znudzoną.

Melampo sądził że to zawiele zachodu około tak drobnej sprawy i poszedł spać pod cień pomarańczy. Zdało się, że drzewo to otrząsa z pyłu wszystkich kwiat, jakby chciało nim usłać ścieżkę dla drogiej narzeczonej.

Wyszli nakoniec, gdy wtém nagle jakiś hałas obił się im o uszy; jakby ryk byka, wpędzonego do areny, jakby rozzdzierające jęki zranionej łani. Było krzyk popłochu

i grozy uciekającej drużyny, zewsząd pomieszany z krzykiem przestrawu i oburzenia mieszkańców miasteczka.

Francuzi którzy już weszli do Sewilli, ciągnęli dalej niszczący swój pochód ku Kadyxowi.

Peryko, przewidując ten smutny wypadek obrał folwark samotny, daleki od przechodu téj bandy, za schronienie dla swéj rodziny i przygotował wszystko do ucieczki.

Gdy się to dzieje, ludzie siodłają na gwałt muły i osły, drżące z przerażenia kobiety wybierały pospiesznie z szaf bieliznę i ubrania aby je od łupieży uratować.

— Jakaż smutna wróżba, Ventura!— mówiła Elwira;— dzień co miał nas połączyć, rozłącza nas!

— Nic nie może nas rozłączyć, Elwiro—odpowiedział młodzieniec—jedź spokojna, my tu wszystko urządzimy i złączymy się z wami w drodze.

Ventura polecił im jechać pod dozorem Peryka, a sam powrócił do siebie dopiero wtedy gdy mu znikli z oczu.

Lecz już przy bramach miasta oczekiwano straszego odgłosu bębnow, co oznajmiał przybycie nieprzyjacielskich zastępów, które miały uderzyć na bezbronną ludność, i uprowadzić w niewolę.

Dzikie żołdactwo rzuciło się do rabunku.

— Za mną, ojcie—zawołał Ventura—siostró! idźmy: uciekajmy!

— Już zapóźno—odparł Pedro;—oni są tutaj; schowaj się Ventura z siostrą. Gdy mrok zapadnie uciekniemy, lecz teraz ukryj się spieszenie.

— A ty ojcie?—spytał wahajaco Ventura.

— Ja zostanę; cóż mogą zrobić mnie staremu? No, posłuchajcie dobrej rady i schowajcie się dobrze. Marcello! co tam robisz? zimnaś i nieruchoma niby posąg kamienny. Ventura, cóż sobie myślisz, że stoisz jak muł nieruchomy? Chcesz zgubić siostrę? Ventura, mój synu czy chcesz mnie zabić?

Rozpacz ojca obudziła Venturę z odrętwienia, w jakim go pogrążyły: niepewność, zadziwienie i gniew.

— Trzeba więc mi będzie—mruczał sobie zaciskając pięście i zgrzytając zębami—trzeba więc mi będzie schować się jak babie jakiś! Poniosę wstyd aż do grobu! Zchwycił

ręką drabinę, przystawił ją do otworu, przez który można się było dostać do ciemnego lamusa, składu zboża i starych sprzętów. Najprzód podsadził siostrę, potem sam przebiegł szczeble i wciągnął po za sobą drabinę.

Po jakimś czasie, zastukano do drzwi. Pedro otworzył: grenadyer francuzki wszedł.

— Przygotuj mi jeść i pić—rzekł do Pedra. Oddaj pieniądze, jeżeli nie masz ochoty żebym je sam wziął i zawołaj córek, jeżeli nie życzysz sobie, bym je poszedł szukać.

Krew dumnego Hiszpana i obrażonego ojca wystąpiła mu na oblicze, ale odrzekł z umiarkowaniem:

— Nie mam tego wcale, czego żądasz.

— Jak śmiesz mi mówić, że nie nie masz, rozbójniku? Czy wiesz do kogo mówisz? Nie widzisz-że iż głodny jestem i spragniony?

Pedro, który się spodziewał przepędzić oczekiwany dzień wesela swego syna, w domu Anny, i nie miał nic przygotowanego u siebie, otworzył drzwi od kuchni, i pokazując ręką na zgaszony ogień, rzekł:

— Tak, powtarzam ci, tutaj nie ma niczego krom chleba do jedzenia.

— Kłamiesz!—wykrzyknął wściekły Francuz—dlatego nie ma, że nie chcesz, i basta.

Pedro rzucił na grenadyera spojrzenie, w którym błyszczał płomień oburzenia i wzdargy; szybka atoli rozważa wstrząsała nim i spuszczać oczy odparł spokojnie:

— Możesz sam zobaczyć, czym ci prawdę powiedział.

Na tę nową odpowiedź przeczącą, żołnierz któremu wejrzenie Pedra jeszcze więcej krew rozjątrzyło, przybliżył się doń: „Al! to ty myślisz mi się opierać! odmawiasz mi tego, coś mi dać powinien, a w dodatku jeszcze obrażasz mię twym niegodnym stoicyzmem. Słowo daję, jak się wezmę do ciebie, zrobisz się miękkim jak воск.” To mówiąc, podniósł rękę i w tej chwili rozległ się w pokoju silny policzek.

Jak orzeł rzuca się na zdobycz, Ventura w oka mgnieniu zeskoczył na dół ze spichrza; przyskoczył do Francuza, wyrwał mu szablę z pochwy i wbił mu ją w piersi na wskrós: grenadyer powalił się jak głaz na ziemię.

„Synu mój! synu mój! cóżeś uczynił? zawołał starzec, niepomny na swą zniewagę, a cały zajęty tylko niebezpieczeństwem Ventury.

— Ojczy, dopełniłem powinności.

— Nieszczęsny! zgubiłeś się!

— I cóż to szkodzi, gdy ciebie pomściłem!

— Oh! uciekaj, uciekaj, bez straty czasu.

— Tak, lecz pierwój muszę zatrzyć wszelki ślad tego niegodziwca, który otrzymał to, na co zasłużył; gdyby go bowiem znaleziono, ukaranoby cię mój ojczy, za mnie.

— Nie, daj pokój, daj pokój—krzyczał ustawicznie starzec—myśl o własném ocaleniu: o, tu tylko o ciebie chodzi.

Ventura udając że nie słyszy, wziął trupa na ramiona i wrzucił go do studni; potém powrócił do ojca, śledzącego jego ruchy i miotanego okropną niespokojnością, prosił go pokornie o błogosławieństwo, wdrapał się na mur opasujący miasteczko i przeskoczył na drugą stronę: był już na wsi. Nieszczęśliwy starzec usiłując dostać się na drzewo figowe, rosnące na podwórku i wspinając się na gałęzie z sercem złamaném, oczami otwartymi, piersią zadyszana, ujrzał swego syna, przedmiot najtkliwszego przywiązania, jak z lekkością jelenia przebywał przestrzeń rozdzielającą wioskę od gaju oliwnego, aż mu znikł pomiędzy drzewami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

